

The background is a complex, abstract composition of orange and brown tones. It features a central, dark brown sphere that appears to be a focal point. Radiating from this sphere are numerous thin, parallel lines that create a sense of depth and movement, resembling a tunnel or a vortex. The overall texture is highly geometric, with many small, irregular shapes and patterns that contribute to a rich, layered visual effect.

Anna Helena Kubiak

Nie wiem dlaczego

Nie wiem dlaczego

Copyright 2013 Anna Helena Kubiak

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

Nie wiem dlaczego

Nie wiem, dlaczego sprawy w moim życiu układają się zupełnie inaczej, niż wydawałoby się, że powinny.

W tym roku straciłam męża.

Było to jesienią.

Stałam i patrzyłam, jak wlatuje w niebo.

Stało się to tak nagle.

Zostawił mnie.

A ja? Cóż, wciąż kochałam go i dlatego nie mogłam go zatrzymać. Podpisałam papiery rozwodowe i pozwoliłam mu odejść.

Nie wiem, dlaczego to zrobił. Godzinami rozmyślałam nad tym, co się z nami stało. Do tamtego momentu żyłam w przekonaniu, że jesteśmy jedną z najlepiej dobranych par.

Byliśmy sobie przeznaczeni. Naprawdę. Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, rodzice zaplanowali nasz ślub, aby połączyć dwa bogate rody. Zupełnie jak za dawnych czasów. Zresztą sama nie znalazłabym lepszego męża: był przystojny, mądry i czuły, był wspianiałym towarzyszem życia, chociaż nie było to dla niego łatwe. Od początku wiadomo było, że wiele spraw trzeba będzie podporządkować mojej naukowej karierze. Ilu mężczyzn jest w stanie przyjąć taką – mówiąc wprost – podrzędną rolę w związku?

Zawsze mieliśmy dobry kontakt. Starłam się, by był na bieżąco z moją pracą – największą pasją mojego życia. Zabierałam go na odczyty, a potem dzieliłam się przemyśleniami. Nie liczyłam na to, że wszystko zrozumie, garstka uczonych ledwo mogła się w tym połapać, ale chciałam, żeby przynajmniej miał pojęcie, czym się zajmuję.

Każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem, chyba nigdy nie rozstaliśmy się na dłużej niż pół dnia. Które małżeństwo z piętnastoletnim stażem mogłoby się tym pochwalić?

Rzadko chodziliśmy na przyjęcia, we dwójkę było nam wystarczająco dobrze. Nie znaczy to, że trzymaliśmy się na uboczu. Ben miał spore grono znajomych i pierwsze lata po ślubie przez nasz dom przewijało się mnóstwo ludzi. Zawsze starałam się znaleźć czas, by dotrzymać im towarzystwa. Potem jednak przestali odwiedzać nas tak często. Nie wiem dlaczego, chyba – jak to zwykle bywa – każdego coraz bardziej pochłaniało jego własne życie.

Dzięki mnie Benny poznał wiele nowych rzeczy. Pragnęłam, by łączyło nas jak najwięcej wspólnych zainteresowań: próbowałam nauczyć go słuchania jazzu aharmonicznego – muzyki, do której początkowo odnosił się więcej niż niechętnie; na wystawach kwadracistów cierpliwie tłumaczyłam każdy obraz: co artysta chciał

wyrazić, malując kwadrat w tym czy innym miejscu, nadając mu taką czy inną barwę. Wiele radości przynosiło mi też wspólne oglądanie filmów z mojej unikatowej kolekcji, w której udało mi się zgromadzić większość klasycznych obyczajowych seriali, od najstarszych odcinków, granych jeszcze przez prawdziwych aktorów, do tych normalnych, w mistrzowski sposób naśladowujących pierwowzory.

Przez jakiś czas mieliśmy też swoją tradycję: w niedzielne wieczory mąż urządzał kolację przy świecach, a ja czytałam na głos poezje. Wiem, że nie przepadał za wierszami, ale lubiłam w ten sposób wprowadzać bardziej romantyczny i uduchowiony nastrój. Często żartował, że brakuje tylko skrzypka. Planowałam, że kiedyś zrobię mu niespodziankę i uświetnię nasz wieczór muzyką na żywo. Jakoś tak jednak wyszło, że wcześniej tę naszą tradycję rozmyły fale codziennego życia.

Potem nastał ten feralny jesienny dzień: oświadczył mi, że odchodzi.

Być może stało się tak dlatego, że coraz bardziej poświęcałam się pracy, a szczerze mówiąc, poświęcałam nie tylko siebie. Nasz dom nie przypominał już pałacyku, do którego się wprowadziliśmy. Kilka nieudanych eksperymentów upodobiło go do ruin XX-wiecznego domostwa o trudnym do określenia stylu architektonicznym. z braku funduszy samochód od kilku miesięcy czekał na nowy napęd, a nasze życie kulturalne i towarzyskie zamarło całkowicie.

Nieliczni znajomi, którzy czasem nas odwiedzali, zaczęli w żartach nazywać mnie doktor Frankenstein. Nie, nie, nie zajmuję się wskrzeszaniem trupów! Wyzwaniem dla mnie stał się czas – wymiar, po którym już niedługo będziemy mogli się swobodnie poruszać. Siłą rzeczy często rozważałam paradoksy podróży w czasie. Podobno zanudziłam tym połowę przyjaciół. Nie wierzę! To przecież takie fascynujące – mogłabym mówić o tym całymi godzinami!

XXI wiek przejdzie do historii jako wycinek dziejów, który każdy wolałaby ominąć.

XXII nie zapowiadał się lepiej. Byliśmy o krok od wszystkiego: ogólnodostępnych podróży kosmicznych, całkowitej eliminacji chorób i przedłużania życia prawie w nieskończoność. Oceniano, że to XXIII będzie wiekiem spełnienia. Brakowało nam jeszcze osiemdziesięciu, może stu lat.

Dlatego też coraz większą popularnością cieszyły się Wehikuły Czasu – ostatni krzyk mody w pogoni za jutrem. Kiedy zawiodły próby długotrwałych hibernacji, z pomocą przyszły agencje kosmiczne, które notorycznie zmagaly się z finansowymi brakami. Teraz mogły je uzupełniać, sprzedając bilety w XXIII wiek. Co kilka lat przeznaczano na ten cel niewielki statek, który miał za zadanie zatoczenie ponad stuletniej pętli. Na jego pokładzie mijało zaledwie kilkanaście lat, prawie nieszkodliwych dla zahibernowanych pasażerów. Loty w kosmos mogły rozwijać się bardziej dynamicznie, a moi tego świata odlatywali w przyszłość.

Małuczcy spoglądali w niebo i dawali upust zazdrości, życząc im, by dni, do których się udają, nie były aż tak wspaniałe, jak tego oczekiwano.

Ale nie wszyscy tak myśleli. Ja też wpatrywałam się w przestrzeń i pragnęłam, by XXIII wiek rozpoczął się już teraz – nie tylko dla mnie, dla wszystkich – i co ważniejsze: byłam pewna, że potrafię urzeczywistnić tę fantazję. Chciałam udać się kilkadziesiąt lat do przodu i wrócić, przynosząc stamtąd wiedzę, która miała się dopiero narodzić.

Marzyłam o tym od dzieciństwa, choć wtedy bardziej myślałam o sławie, jaką by mi to przyniosło, niż o ogólnoludzkich korzyściach. Pamiętam, że rodzice nie uważali tego za normalne i wydali sporo pieniędzy na psychologa, który pomógł mi zrozumieć, czego wysoko postawieni ludzie oczekują po swoich dzieciach. Po prostu chcieli, żebym była taka jak córki ich przyjaciół. Uszczęśliwiłam więc ich stwierdzeniem, że nie chcę już podróżować w czasie, zostanę kaskaderką. Mama uśmiechnęła się:

– Nigdy w życiu, Julio. To zbyt niebezpieczne.

Więcej już nie wracaliśmy do tematu: rodzice byli zadowoleni, a ja mogłam spokojnie poświęcić się mojej pasji.

– Z czasoprzestrzenią nie ma żartów – powiadał profesor Feldman, spoglądając w pełne ufności oczy studentów pierwszego roku. – Ci, którzy będą chcieli ją zrozumieć, prędzej czy później wybiegną z tej sali z krzykiem. Jeśli więc ktoś przetrzyma cały semestr moich wykładów, będzie to znaczyło, że ich po prostu nie słuchał.

Wytrzymałam tylko ja. Cały rok. Chciał mnie za to oblać, ale nie dałam mu szansy – nie pojawiłam się na egzaminie. Podobno odetchnął z ulgą, bo nigdy nie zdarzyło mu się prowadzić drugiego roku. Musiał więc obawiać się, że jednak zdam, a to znaczyło dla mnie to samo, co zaliczony egzamin.

Potem oczywiście żałowałam, że przerwałam studia. Być może nie popełniłabym wówczas kilku błędów, a przede wszystkim nie musiałabym eksperymentować w domu. Dobrze, że skończyło się tylko na paru dziurach w ścianach i lekkim zagięciu czasoprzestrzeni na obwodach elektrycznych. Przy każdym kontakcie i gniazdku umieściłam informację o rozbieżności między jego użyciem a faktycznym przepływem prądu. Po paru miesiącach przyzwyczailiśmy się do tego na tyle, że prawie przestało nam to przeszkadzać.

Moje laboratorium nie wyglądało zbyt imponująco. Podstawowy zestaw urządzeń i mierników, wymontowany z samochodu napęd atomowy i – powiedzmy „pożyczony” z uczelni – stary, nieudany prototyp urządzenia do przenoszenia w czasie, który nazwałam starterem. Nim właśnie wypaliłam w ścianach dziury, które, jak przez pewien czas myślałam, przyspieszyły rozpad mojego małżeństwa. Podejrzywałam, że Ben nie miał już siły przymykać oczu na wynikające z mojego niedbalstwa wypadki i zaczął poważnie obawiać się o swoje życie. Ostateczną decyzję podjął po jednej z kolejnych wpadek, która mi się przydarzyła. Nie zrobiłam tego specjalnie, ale zrobiłam... Wysłałam nasz salon w podróż w przyszłość. Następnego dnia ekipa urządziła nam nowy na piętrze, a mąż pokazał mi kartę na

startujący za miesiąc 3. Wehikuł Czasu i zażądał rozwodu. Nieszczęsny salon nadal mknie w nieznaną. Nie mam nawet pojęcia, jak daleko go wysłałam, ale biorąc pod uwagę fakt, że zużył całą energię napędu, który przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie, wymieniając jedynie modele samochodów, nie będzie dostępny jeszcze dosyć długo.

Myślałam o Benie mknącym gdzieś po kosmicznych szlakach z prędkością bliską świetlnej, w jednej ze specjalnych kapsuł mających zabezpieczać swoją zawartość przed wszystkimi skutkami panujących tam niewiarygodnych przeciążeń. o Benie i 268 innych zwolennikach życia w przyszłości. Wyobrażałam go sobie, jak pędzi przez kosmos, i wciąż na nowo próbowałam zrozumieć jego motyw.

Zadręczałam się tym do dnia, kiedy wreszcie domyśliłam się prawdy.

Zrobił to dla mnie! Dał mi wolność, bym mogła całkowicie skupić się na wynalazku, dopóki mój mózg był wystarczająco sprawny, żeby poradzić sobie z zagadnieniem, któremu nie podołali najlepsi. Wiedział, że w końcu mi się uda i dołączę do niego w przyszłości, okrywając się po drodze sławą.

To odkrycie dało mi jeszcze więcej sił do pracy. Myślę, że znowu się pobierzemy. To będzie coś! Wyobrażam sobie, jaki będzie szczęśliwy!

Wysłałam w przyszłość chomika. Użyłam możliwie najmniejszej dawki energii. Nasze czasy zrównały się po 35 minutach. Wprowadziłam dane i czekałam, aż komputer się z nimi upora.

Podróż w przyszłość była już możliwa do zrealizowania, ale mnie zależało też na tym, żeby wrócić. Tylko tak mogłam udowodnić wszystkim, że mi się udało, ponadto plan zakładał, że przywiozę teraźniejszej ludzkości technologię przyszłości, aby potem udać się do XXIII wieku, do Bena, okryta nieśmiertelną sławą, w aurze wdzięczności i podziwu.

Do tego potrzebne było drugie urządzenie i – co gorsza – wyliczenie potrzebnej do powrotu energii. Czas płynący do przodu był już wystarczająco kłopotliwą rzeczą, ale tu można było podeprzeć się eksperymentami. Przy obliczeniach dla obiektu poruszającego się wstecz zdana byłam jedynie na domysły. Założyłam, że energia potrzebna do pokonania czasu „pod prąd” musi być znacznie większa, a co za tym idzie wymagająca jeszcze większych nakładów finansowych. Nie musiałam na szczęście wracać aż do swojej obecnej teraźniejszości, dla moich celów wystarczyłoby cofnąć się w okolice roku 2150, tam odnieść sukces i kolejnym skokiem dogonić Bena.

Zająłam się budową powrotnego startera.

Sprawy zaczęły się komplikować. Potrzebowałam już niewiele czasu, ale za to coraz więcej pieniędzy. To była studnia bez dna, a w tej chwili z naszych fortun nie zostało już wiele. Ben zainwestował swoją w podróż w przyszłość, a ja przepuściłam swoją na badania. Zawisła nade mną realna groźba znalezienia się na bruku. Nie było mnie już stać nawet na standardowy napęd samochodowy.

Zaczęłam szukać sponsora.

W końcu udało mi się zainteresować swoim wynalazkiem pewnego dziennikarza, który załatwił mi 15 minut czasu antenowego w jakiejś telewizji. Gdy układałam sobie w domu, co powinnam powiedzieć, ten kwadrans wydał mi się niezmiernie długi. Jednak przed kamerą myśli same zaczęły cisnąć się do głowy. Prawie siłą musieli wyciągać mnie ze studia.

Potem przez godzinę wpatrywałam się w uparcie milczący telefon. Czyżby nikt nie zrozumiał, jaką daję im szansę?

Zrezygnowana, podreptałam do domu.

Wieczorem zadzwonili z redakcji z wiadomością, że ktoś jednak się zgłosił. Umówili mnie z nim w kawiarni.

Podeszłam do wskazanego stolika, przy którym siedział starszy mężczyzna. Nie wyglądał na to, żeby kiedykolwiek otarł się o duże pieniądze, ale wydał mi się znajomy.

– Jestem Julia Stevens – przedstawiłam się.

– Nigdy nie zapominam swoich uczniów. Zwłaszcza takich jak pani!

No tak! Profesor Feldman! Był kilkanaście lat starszy, tak samo zresztą jak i ja, ale po nim było to znacznie bardziej widać.

– Więc twierdzi pani, że to działa? – w jego głosie słychać było, jak niedowierzenie walczy z nadzieją.

– Jeszcze jak! Chodźmy do mnie, przekona się pan na własne oczy!

Byłam tak podekscytowana spotkaniem z kimś, kto rozumie więcej niż dwadzieścia procent moich wypowiedzi, że zupełnie zapomniałam, po co tu przyszłam.

Profesor ze łzami w oczach oglądał mój zdewastowany dom i obskurne laboratorium.

– Nie mogę w to uwierzyć! Widzę, że sporo pani pozmieniała, ale wciąż go rozpoznaję – powiedział, wskazując aparat.

Przez te lata zupełnie zapomniałam, że kiedyś był własnością uczelni.

– No, tak. Nie jest całkowicie mój – przyznałam. – Ktoś wykonał przede mną kawał dobrej roboty.

– Dziękuję!

– Za... Czy to...?

– Dokładnie! Kiedy zobaczyłem panią na ekranie, od razu przypomniałem sobie o tajemniczej kradzieży sprzed lat. Nawet tego wtedy nie zgłosiłem. Był to przecież kawałek złomu – tak o nim myślałem, choć poświęciłem mu najlepszy okres swojego życia. Cieszę się, że nie na darmo!

– Pod warunkiem, że znajdę sponsora.

– Już go pani znalazła.

– Pan?! – Moje zdziwienie nie było zbyt grzeczne, ale zaskoczył mnie. Na szczęście nie okazał się drażliwym człowiekiem.

- Nie ja. Rząd.
- Jak to?
- Wiedziała pani, że pracowałem dla NASA?
- Nie.
- Skontaktowali się ze mną po pani programie i spytali, czy mógłbym to sprawdzić. Podobno zgłaszała się pani do nich wcześniej, ale...
- Nie potraktowali mnie poważnie. Co się zmieniło?
- Obejrzel program i stwierdzili, że... jakby to powiedzieć?
- Że może mam rację? Dobrze to wszystko wyjaśniłam?
- Niezupełnie. Dla nich był to naukowy bełkot i stwierdzili, że naciągacza starałaby się przedstawić to zrozumiale i ciekawie... ale mniejsza z tym. Jeśli jest pani nadal zainteresowana, a sądzę, że tak, to od jutra zaczyna pani pracę.

I rzeczywiście zaczęłam.

Początek nie był dobry. Uparli się, że wyślą robota.

Nie wiedzieli oczywiście, że zamierzam ściągnąć tu kilka przyszłych wynalazków. Gdyby mieli w tym względzie choćby najlżejsze podejrzenia, nie byłoby żadnej dyskusji. Temat zaburzeń kontinuum wywoływał u nich niezbyt – moim zdaniem – uzasadnioną trwogę. W tym przypadku bali się jednak jedynie tego, że coś mi się stanie, i ignorowali moje zapewnienia, że wyprawa jest całkowicie bezpieczna. Już chciałam spakować rzeczy i szukać innych możliwości, ale profesor Feldman doradził mi, bym nazajutrz omówiła ten temat szerzej na porannej odprawie.

Odprawa potrwała do przerwy na lunch. Wreszcie skapitulowali.

– Kto jest za tym, żeby wysłać panią Stevens?

Zanim pytanie zostało dokończzone, wszyscy podnieśli ręce do góry, zazwyczaj po dwie.

Oczywiście musiałam podpisać kilkanaście różnych oświadczeń, że nikogo nie będę ciągała po sądach, choćby nie wiem, co się stało. Sprawa zrobiła się jeszcze bardziej tajna: nikt nie mógł się o niczym dowiedzieć, dopóki eksperyment nie zakończy się pomyślnie. Cóż, innej możliwości nie przewidywałam.

– Musi pani zaliczyć pełny kurs posługiwania się kombinezonem kosmicznym, w którym odbędzie pani podróż, oraz obsługi kapsuły. To jest przerobiony pojazd księżycowy zaopatrzone dodatkowo w silniczki, które w razie potrzeby uruchomią się automatycznie i umożliwią lądowanie bądź przelot. Można poruszać się nim na wysokości około trzydziestu metrów...

– Chwileczkę! Panowie chyba nie zrozumieli. To będzie podróż w czasie, nie przestrzeni, będę wciąż przykuta do tego miejsca tymi samymi siłami co teraz. Doświadczenia potwierdziły, że przyspieszenie w czasie, jakie mam zamiar osiągnąć, nie zakłóca działania grawitacji – zaczęłam im wyjaśniać od nowa. Gdy skończyłam, zorientowałam się, że minęły dwie godziny.

Larson, mój obecny przełożony, ziewnął. Po reszcie też widać było, że musieli być wyrwani z łóżek o zbyt wczesnej porze.

– Tak, tak. Jesteśmy mniej więcej poinformowani. Jednak, ze zrozumiałych względów, eksperyment ten jest zakwalifikowany do najwyższej grupy ryzyka. Musimy więc zabezpieczyć panią zgodnie z wymogami tej grupy. Musimy wziąć pod uwagę możliwość wystąpienia w tym miejscu nietypowych warunków, na przykład kataklizmu. Kapsuła i kombinezon zapewnią najlepszą ochronę. Nie chcemy narażać eksperymentu przez jakieś niedopatrzenie. Jak pani wie, koszty są ogromne.

Nie mogłam w tym miejscu nie odchrząknąć znacząco.

– I oczywiście chodzi też o pani bezpieczeństwo – dodał.

Współpraca nie układała się najlepiej. Ja byłam nastawiona entuzjastycznie, oni mówili w kółko o pieniądzach i zabezpieczeniach. w końcu mnie też się to udzieliło.

– Mam nadzieję, że wszyscy zdali sobie sprawę z tego, że powrotny starter nie wróci ze mną. Niestety na razie nie może przenieść sam siebie.

– Oczywiście. Wszyscy tu jesteśmy w temacie.

– Kiedy udowodnię, że wszystko działa prawidłowo, będzie można rozpocząć budowę następnych i umieszczać je w innych czasach. Oczywiście byłoby dużo wygodniej korzystać z prawdziwego wehikułu, który podróżowałby razem z pasażerem, myślę, że jest to do zrobienia, ale takie przedsięwzięcie pochłonie dużo większe fundusze, dlatego trzeba najpierw pokazać niedowiarkom z grubymi portfelami, że nie będą to wyrzucone pieniądze...

– Tak, tak...

– Ja sama nie zawahałam się postawić na to ostatnich pieniędzy, ale dopóki nie wykażemy czarno na białym, że można bez obaw podróżować w obie strony, każdy laik ma prawo się obawiać...

– ...że z przyszłości nie da się wrócić – wszedł mi w słowo Larson. Zdawało mi się, że w jego głosie usłyszałam nutkę nadziei, ale było to absurdalne.

– Prawdziwy naukowiec nigdy nie jest niczego pewny w stu procentach – rzuciłam. – Ale jestem tego bardzo bliska.

– Doskonale. – Wszyscy nagle się ożywili. – Za pół godziny mamy spotkanie z naszym głównym sponsorem. Przynajmniej jego musi pani przekonać, że to zadziała.

Rozmowa ze sponsorem, którego nazwiska nigdy nie poznałam, przedłużyła się do wieczora.

Zapoznałam go ze szczegółami działania urządzenia i wszystkimi teoriami potwierdzającymi moje założenia. Jego zainteresowanie nieco osłabło, widocznie nie był w stanie tego ogarnąć.

Potem jeszcze na kilkanaście minut przejęli go koledzy z NASA. Nie wiem, jak to zrobili, ale wyraźnie odzyskał zapał do sprawy. Wydawało mi się, że powiedział: „Więc mam zapłacić za to, że ta kobieta zniknie? Wchodzę w to!”. Musiało mi się przesłyszeć, zwłaszcza że przede wszystkim chodziło o to, żeby wrócić.

Myślałam, że nie dożyję dnia wyjazdu. To, co wyczyniali z moim ciałem i psychiką, przerosło moje najgorsze obawy. Zdaje się, że znacznie mniej ufali mojemu geniuszowi niż ja sama. Odniosłam też wrażenie, że byli zdecydowanie nadgorliwi.

Na dzień przed planowanym startem urządzono bankiet. Znaleźli się tam wszyscy, którzy w ten czy inny sposób przyczynili się do sukcesu – nikt oprócz mnie nie ośmielał się jeszcze tak tego nazywać. Po kilku kieliszkach szampana postanowiłam zabrać głos. Planowana podróż w odległą przyszłość natchnęła mnie do wspomnień. Opowiedziałam pokrótce o swoim dzieciństwie i młodości. Zatrzymałam się na dłużej przy Benie i naszym wspólnym, szczęśliwym życiu. Potem puściłam wodze fantazji i roztoczyłam wizję świata, jaki dane mi będzie wkrótce ujrzeć. Mój powrót miał wypaść za trzy do pięciu miesięcy. Jednak obliczenia były skażone zbyt wieloma niewiadomymi i osobiście uważałam, że wrócę raczej za parę lat. Nie dzieliłam się z nikim tymi myślami, żeby nie zniechęcać inwestorów.

Uniosłam do góry swój kieliszek. w trakcie, kiedy wygłaszałam mowę, reszta wyprzedziła mnie już o parę kolejek, ale teraz ochoczo dołączyli się do mnie.

– Zdrowie przyszłych pokoleń! – zawołał ktoś.

– Za wysyłanie ludzi w przyszłość!

– Za dalekie podróże!

Nie wiem, dlaczego nikt nie wzniosł toastu za szczęśliwy powrót.

Nazajutrz spotkaliśmy się około dwudziestej.

Włożyłam kombinezon, w którym zdążyłam już spędzić w sumie kilkanaście dni, i usiadłam w fotelu. w jego poręczach mieścił się panel sterowania, dzięki któremu w razie kłopotów mogłam bez ruszania się z miejsca zainicjować powrót. Przyciskiem zamknęłam kapsułę, wewnątrz której znalazło się trochę zapasów jedzenia i wody oraz zestaw powrotny.

Po potwierdzeniu gotowości Larson włączył urządzenie i wystartowałam.

Sylwetki ludzi i niektórych sprzętów rozmyły się natychmiast, inne stały się nieostre. Zaczęło mi się kręcić w głowie, więc zamknęłam oczy.

Dla obserwujących mnie z zewnątrz, musiałam wyglądać jak martwa.

Co jakiś czas rzucałam spojrzenie na uciekającą rzeczywistość. Stawała się coraz mniej wyraźna, znaczną część widoku pochłaniała prawie jednolita szara mgła. Doszłam do wniosku, że salę okupują tłumy ciekawskich, zakrywając mi widok rzeczy wystarczająco stałych, bym mogła je zobaczyć. To było silniejsze ode mnie: zaczęłam zastanawiać się nad momentem mojego powrotu, wówczas w tej mgle znajdzie się moje późniejsze ja i będzie patrzeć na mnie wraz z innymi. Wiedziałam, że są to zakazane myśli. Numer jeden na liście rzeczy, których nie wolno mi robić. Zgadzałam się z przydzielonym mi psychologiem, ale teraz po prostu nie mogłam się powstrzymać. Czy rzeczywiście będę tymi dwoma osobami? Która z nas będzie wówczas prawdziwsza? Która będzie tak naprawdę mną?

Zacisnęłam powieki, musiałam nad tym zapanować. Wzięłam kilka głębokich oddechów, następnie, tak jak robiłam to wielokrotnie podczas ćwiczeń, zaczęłam przypominać sobie ze szczegółami najszcześniejszy dzień w życiu – mój ślub.

W końcu przed moimi oczami ukazała się zielona tablica – znak, że zakończyło się wstępne rozpędzanie i nastąpi główne uderzenie. Teraz baterie uwolnią całą swoją energię. Zacisnęłam dłonie na poręczach fotela i wyczułam dziwne wibracje, które szybko zaczęły nabierać mocy. Działo się coś złego. Nie mogłam zobaczyć co, bo świat przelatywał już zbyt szybko za szklanymi ścianami mojej kapsuły. Po kilku mocniejszych wstrząsach obraz widzianego przeze mnie świata wyraźnie uległ zmianie. Trochę trwało zanim zrozumiałam, co się stało. Pomyliłam się! Grawitacja zaczęła jednak słabnąć, a ja, trzymana na coraz cieńszym niewidzialnym łańcuchu, oddalałam się od Ziemi! Kapsuła bez trudu przeleciała przez ściany budynku, żadna materia nie była teraz dla niej przeszkodą – tak samo stało się z moim salonem, do którego nie można było się dostać nawet za pomocą środków wybuchowych – i teraz wznosiłam się coraz wyżej i wyżej, aż otoczyła mnie ciemność. Pomimo paraliżującego myśli strachu zrozumiałam, że to kosmos.

Gdyby nie zabezpieczenia, byłoby już po mnie. Podziękowałam wszystkim ludziom wymyślającym przepisy bezpieczeństwa i tym, którzy się do nich ślepo stosują.

Wszystko skończyło się nagle. Zatrzymałam się, a wokół mnie rozkwitły miliony gwiazd, pode mną zaś rozpościerała się nocna strona Ziemi. Rozplakałam się z chwilowej ulgi. Lecz zaraz niedoświadczony z taką mocą przez żadnego człowieka groza i samotność ścisnęły mi gardło jak metalowa obręcz.

Musiałam działać jak najszybciej, zapas tlenu obliczony był wprawdzie z nawiązką w obie strony podróży, ale teraz, kiedy stał się moją gwarancją przeżycia, a nie tylko dodatkowym zabezpieczeniem, wydawało mi się, że jest go przerażająco mało. Widziałam tylko jedną szansę ratunku: powrót w czasie do momentu, kiedy ja i Ziemia z jej atmosferą byliśmy w tym samym miejscu, tylko to mogło mnie ocalić. Alternatywą było bierne czekanie na śmierć, dlatego nie dopuszczałam do świadomości głosu naukowca, który chciał mi wyjaśnić, że w moim rozumowaniu tkwi poważny błąd, że cofnę się nie tylko do zupełnie przypadkowego momentu, ale też miejsca.

Nie było czasu na wahanie: znowu poczułam wibracje, to grawitacja zaczęła się o mnie upominać.

Pod ręką miałam przycisk aktywujący procedurę awaryjnego powrotu.

– Uda się, uda się... – zaczęłam powtarzać jak mantrę.

Miałam przecież jeszcze tyle planów! To nie mogło się teraz skończyć, urwać tak nagle! Miałam tyle do zrobienia!

– Uda się – powtórzyłam po raz ostatni i drżącym palcem nacisnęłam przycisk.

Zobaczyłam, jak wysięgnik ustawia w odpowiednim położeniu mój wsteczny starter, a następnie usłyszałam sygnał informujący o uruchomieniu trzydziestu atomowych baterii.

Pchnięty olbrzymią siłą obiekt uderzył w ułamek sekundy wcześniejszy wszechświat. Czasoprzestrzeń zakrzywiła się, miażdżąc intruza w śmiertelnym uścisku, Julia Stevens zapadła się w sobie.

Tak powstała na przedpolu Ziemi u schyłku XXII wieku czarna dziura – niewyczerpane źródło taniej i ekologicznej energii dla całej planety. Podobno opracowano technologię jej pozyskania, ale jest ona pilnie strzeżona przez największe koncerny energetyczne świata.

Wrzesień '99

Po więcej opowiadań zapraszam do mojej e-szuflady:
<http://ahkubiak.ovh/>